

# „Fantazy” – komedia czy dramat?

Kończący sezon w Teatrze Polskim „Fantazy” J. Słowackiego nie przyniósł spodziewanego sukcesu. A czegoś takiego można było oczekiwać, kiedy po raz pierwszy zapowiedziano premierę na 13 maja br. Nadzieje, że będzie to dobry artystycznie sezon uzasadniały poprzednie realizacje. Po dwóch interesujących przedstawieniach Mikołaja Grabowskiego, zgodnie z zapowiedzią, Janusz Nyczak miał reżyserować „Fantazego”. Tymczasem premierę odwołano i dopiero 5 czerwca mogliśmy obejrzyć przedstawienie, ale afisze informowały wówczas, że reżyserem jest Mikołaj Grabowski a scenografem Jacek Ukleja. W poznańskim światku kulturalnym zawrzało. Dawno nie notowano tak zjadliwych wypowiedzi i recenzji, choć Teatr zachował zapewne w pamięci sporo różnych krytycznych głosów z poprzednich lat. Można by wręcz mówić o fatum, które zaciążyło nad tą sceną i krytycy zdają się być jak ów przysłowiwy miecz Damoklesa wykonujący wyrok, bo widocznie inaczej żadna kolejna próba odrodzenia Teatru Polskiego skończyć się nie może. Ale na żarty nie pora. Nie chodzi o to, aby podnosić o jeszcze jedną kreskę atmosferę, jaka wokół Teatru powstała. Bo wtedy na pewno nie potrafimy ocenić co rzeczywiście się udało zrobić, co naprawdę zobaczyliśmy w oknie sceny, a przecież w ostatecznym rachunku to jest ważne dla widza spoza środowiska. Wobec tego widza jesteśmy zobowiązani wszyscy.

Trzeba jednak pamiętać, że realizacja Janusza Nyczaka nie została dopuszczona do głosu, choć oczywiście jest, że dyrektor i kierownik artystyczny jest odpowiedzialny za to co ukazują się na scenie powierzonej mu placówce. Nie rozstrzyga to jednak wszystkiego, pozostaje pytanie czy decyzja była na miarę sprawy i to pozostanie dla nas tajemnicą. Dodajmy, że znamy w Poznaniu Janusza Nyczaka z wielu realizacji i dlatego mamy prawo mieć zaufanie do talentu i umiejętności tego reżysera. Stąd też możemy żywić niepokój i mieć wątpliwości czy wersja ta nie mogła ukazać się na deskach sceny, tym bardziej, że reżyser jest członkiem zespołu kierowniczego. W sumie obok aspektu personalnego najgorsze jest to, że momentalnie nagromadziło się znowu wokół teatru wiele pytań i powstał klimat nie sprzyjający skupieniu i pracy. Wszystko to stało się ledwie teatr ten zaczął dawać nam spektakle godne uwagi.

W ferworze dyskusji dostało się Teatrowi i Grabowskiemu, nie tylko jako dyrektorowi i kierownikowi artystycznemu, ale również reżyserowi. Można by pomyśleć, że miniony sezon należy do straconych. I tu potrzebna jest chyba zdecydowana korekta. Byłoby to bowiem przysłowiowe wylewanie dziecka z kąpielą. Mielśmy przecież w tym sezonie bardzo ciekawy „Kwartet dla czterech aktorów” B. Schäffera oraz mądry „Listopad” H. Rzewuskiego, oba w reżyserii M. Grabowskiego. Jest także „Fantazy” pomyślany jako kontynuacja tego myślenia o Polsce, z którym zetknęliśmy się w obu poprzednich realizacjach. I byłaby to godna uwagi konsekwencja, gdyby nie fakt, że myślenie takie nie przystawało do końca do dzieła Słowackiego i stąd „Fantazy” Grabowskiego nie błyszczy, nie urzeka zjadliwą lekkością swej ironii, nie jest tak czystą teatralnie robotą jak poprzednie. Zabrakło formuły stylistycznej, która pogodziłaby w pełni intencje i zamiary reżysera z materiałem dzieła. Ale będą jeszcze o tym mówił. To czego nie wolno jednak przeczyć — to sposób myślenia Grabowskiego o Polsce i Polakach. Jego przekorne, pełne nieustępliwej zimnej pasji, nie poddające się obiegowym formułom dążenie, by poprzez te realizacje uderzyć czy wskazać bolesne węzły „naszej sprawy”. Powstający w ten sposób wizerunek nas samych, dotkliwy w swym oskarżeniu jest na pewno wieloznaczny i kontrowersyjny. Nie daje się jednak zlekceważyć bez względu na to czy się z nim zgodzimy. Umiał tego Grabowski dokonać na materiale dość wyjątkowego w swej formule dramaturgicznej współczesnego utworu, jakim jest „Kwartet...” czy narracji powieściowej Henryka Rzewuskiego. Te usiłowania odnajdujemy również w „Fantazym”. Opozycja tragicznie przeciwstawionych sobie braci, na czym zasadza się cała dramaturgia poznańskiego „Listopada” i sens przedstawienia, znajduje tutaj swoisty odpowiednik. Tyle, że jest to jeszcze bardziej bolesne i dające do myślenia. Grabowski wyostrza opozycję, jaką stanowią Fantazy i major carskiej armii. To staje się dominantą dramaturgiczną przedstawienia poprzez sytuację przeciwstawiającą sobie ich dwóch i to przytłacza wszystko inne. Trzeba jednak pamiętać, że u Słowackiego kompromitacja przedstawionego świata i jego bohaterów dokonuje się po-

przez słowo, jego nadmiar. Narzędziem obnażającym przesuwające się przed naszymi oczami postacie — jest język, jego bogactwo i przepych, który jest w zasięgu niemal każdej co bardziej znaczącej postaci. Meandry porównań, przenośni, aluzji, możliwych podtekstów odbierają bohaterom niejako ich prawdę własną i w konsekwencji oddają ją na użytek panujących konwencji stereotypów epoki, gry, jaką się prowadzi z innymi. Co wtedy zostaje? Czego nie można się pozbyć i w nic innego zmienić? Jakie argumenty zachowują bohaterowie „Fantazego” wówczas? Nicość i pustka bohaterów polskiego światka na Ukrainie jest u Słowackiego oczywista. Dlatego Słowacki napisał komedie. Grabowski rozumie, że komedia taka dzisiaj jest trochę nie na czasie, jesteśmy zbyt serio, w postawach bardzo zasadniczych. Chodzi o coś więcej niż pośmianie się z naszych słabości. Charakter naszego przeżywania potrzebuje innego tonu. W realizacji Grabowskiego wszystko to jest podszyte dramatem, który czai się za węglem, by w ostatniej scenie zawładnąć nią niepodzielnie, tak że mamy wrażenie, jakby zaczynała się nowa sztuka, prawdziwy wrzście dramat, a wszystko co było przedtem to jedynie jakieś zmyłki, przywidzenia, mgły i błędzenia. Myślę, że pisząc to nie jestem zbyt daleki od intencji reżysera, że to „instynkt czasu” kazał mu szukać innego tonu. Tylko jak go wydobyc, kiedy składa się nań tyle różnych realizacji aktorów. Zatrzymajmy się przy polskim światku. Z jednej strony: Fantazy i Idalia, z drugiej: hrabstwo Respektowie. Tutaj szukanie prawdy człowieczeństwa nie odbywa się na poziomie życia. Materialny dostatek i pozycja społeczna skutecznie izolują Fantazego i Idalię od takich możliwości. Pozostaje im „wyższe piętro”, gdzie można paść jedynie ofiarą własnych złudzeń. Tam gdzie życie dochodzi do głosu, u zbankrutowanych Respektów, okazuje się, że nie ma niczego więcej w człowieku jak kalkulacje i zabiegi, by materialną pozycję odzyskać. Nie ma niczego więcej, nawet w finałowej dramatycznej scenie śmierci majora, kiedy każdy musi się ujawnić kim jest naprawdę. I jak się okazuje w tym światku nikogo nie stać na to, by odwołać się do człowieczeństwa, choć to jedyna wartość, która może w takim momencie być jeszcze „odebrana” przez umierającego. Fantazy usuwa się zwyczajnie

w cień, wyczuwa, że nie ma w tym momencie nic do powiedzenia, co pozwoliłoby mu zagrać pierwsze skrzypce. To ciągle szukanie u niego sytuacji ludzkiej, by zaistnieć jako człowiek zostaje tutaj bezlistnie i w milczeniu zdezaszkowane. Nie potrafi wyjść w swym poszukiwaniu naprawdę poza siebie. Przypomnijmy zresztą poprzedzającą scenę na cmentarzu, kiedy najpierw sam pod gwiazdami, a potem z Idalią „łapie” sytuację i od razu wygrywa ją tak jak pozwala na to wyobraźnia i wrażliwość, a tego mu przecież nie brak. Razem z Idalią wchodzi do cmentarnej kaplicy, by w tych niezwykłych warunkach wyjść niejako naprzeciw ludzkiemu przeznaczeniu, poczuć się nim dotkniętym. Ale w chwilę potem, kiedy rzeczywiście stoi w obliczu cudzej śmierci, wycofuje się, mówi że przysłał swojego lekarza. I tak jest ciągle. To szukanie sytuacji ludzkiej załamuje się za każdym razem i okazuje się pomyłką i fałszem. Wszystkie jego śmiałe porywy, cofnięcia, przygaśnięcia, prowokacje i deklaracje nigdy nie wyrwywają go ostatecznie ze stanu swoistego zawieszenia, pozycji, na którą został skazany przez życie. I ciągle okazuje się to wszystko jedną wielką igraszką nie mającą zbyt wiele wspólnego z budowaniem realnej wartości. Jest to miejsce stosowne, aby wspominać ciekawe aktorstwo Jana Peszka po części niewdzięczne, bo w kreowanej osobowości Fantazego wszystko nakierowane jest przede wszystkim na niego samego. To czego my widzowie jesteśmy świadkami, to jedynie erupcja odbłyśków, czy odprysków całych procesów toczących się we wnętrzu, rozgrywanych ze sobą samym. U Fantazego wszystko musi się ostatecznie wyczerpać w nim samym. Taka logika tej osobowości. Stworzyć taką postać to rzecz rzadka. Aktor operuje całą gamą drgań i drzeń, że tak się wyrażę, ciała, mowy, gestu, mimiki, a przy tym jak to wszystko jest wypracowane, zdyscyplinowane. Dzięki temu widzimy z jednej strony krzykliwość, nachalność obecności, a z drugiej czujemy maskowaną dyskrecję, której bohater jakby się wstydił, jakby był sam bezradny wobec podskórnych nurtów, które się w nim toczą. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego aktorstwa teatralnego, zamkniętego w sobie, wypracowanego drobniawo. Na tle tego co widzimy na co dzień staje się to chwilami po prostu niezrozumiałe, a skala osiągnięcia artystycznego niedoceniona, utopiona w morzu „normalności”.

Tą realną wartością, jaka się pojawia jest właśnie major Hawryłowicz, poruszający się z początku w tym światku dość niezdarnie, ale właśnie on nie musi szukać żadnej sytuacji ludzkiej dla siebie. On okazuje się być po prostu człowiekiem przybranym jedynie w kostium oficera, jak się to ujawnia w najważniejszej chwili — podczas śmierci. Ryszard Sobolewski zagrał postać prawdziwie dramatyczną w stylu, dopełniając sensu, który staje się swoistym dla nas wszystkich wyzwaniem i wielkim pytaniem. O nas samych, o rachunek, który należy sobie wystawić. Dzięki temu aktorów